





Newsweek NA ŚWIĘTA

DOŁY I GÓRKI ANDRZEJA GRABOWSKIEGO

# MOGŁEM ZOSTAĆ NAUCZYZCIELEM

W pierwszej scenie filmu „Piosenki o miłości” mówię: „**Wiele ról zagrałem, z kilku jestem dumny, o niektórych pamiętam, a o większości chciałbym zapomnieć**”. Też tak mógłbym powiedzieć. A nawet więcej: zapomniałem

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE BARTOSZ SIEDLIK

**NEWSWEEK:** Przyjechałem porozmawiać z najbardziej rozchwytywanym polskim aktorem. Miał pan w tym roku dziewięć premier filmowych.

**ANDRZEJ GRABOWSKI:** W lutym będzie następna, „Piosenki o miłości”. Tomek Habowski obsadził mnie w roli bardzo popularnego aktora, który swoją karierę oparł na artystycznych produktach niewysokiego lotu. Nie przypomina to panu kogoś? W pierwszej scenie mówię: „Wiele ról zagrałem, z kilku jestem dumny, o niektórych pamiętam, a o większości chciałbym zapomnieć”. Też tak mógłbym powiedzieć.

**Miał pan dołki, okresy bez grania, kiedy wątpił pan, czy nadaje się do tego zawodu?**

– Dołki? Życie składa się przede wszystkim z dołków, czasami tylko mamy wyskok, ale i tego trzeba się bać, bo to znaczy, że zaraz nastąpi upadek z większej wysokości. Miałem solidne doły, ale nigdy nie były związane z zawodem. Przeżyłem dwa małżeństwa, atak tabloidów, zarzuty, że zrobiłem coś, co nie miało miejsca.

**Wielu aktorów nie ma życia poza teatrem.**

– Swego zawodu nigdy nie traktowałem jako czegoś najważniejszego w życiu. Jerzy Goliński, mój nauczyciel i reżyser, mówił na studiach: jak kochasz teatr, to się zapisz do klubu miłośników teatru, a nie bądź aktorem. Ja do tego stopnia nie jestem zakochany w teatrze czy kinie, że często muszę się zmuszać, żeby obejrzeć spektakl lub film, w którym nie gram.

**Dlaczego?**

– Czy jak gajowy ma wolne, to idzie do lasu? Zatem jak mam wolne, to nie ruszam do kina, żeby z zawodową podejrzliwością wyłapywać błędy kolegów. Przyjemnie jest wtedy, kiedy daję się ponieść, ale to rzadkość.

**Uprawianie tego zawodu dużo kosztuje?**

– Nie mam poczucia, że zaniedbałem córki, za mało podróżowałem, przeczytałem za mało książek. Pewnie za mało odpoczywałem.

**Granie stand-upu i rośmieszanie ludzi kilka dni po śmierci mamy to nie jest wysoka cena?**

– Kiedy dowiedziałem się o śmierci ojca, miałem 28 lat i grałem główną rolę w „Polowaniu na kaczki” Aleksandra Wampłowa. Moja postać ciągle dostaje list od ojca, że ten czuje się chory, cierpi, umiera... Kpi sobie z tych wyznań, aż dostaje telegram: ojciec umarł. W poniedziałek przed premierą też dostałem telegram: „ojciec nie żyje, pogrzeb w środę”. Nie było czasu na żałobę. Kiedy odgrywaliśmy scenę z telegramem, koledzy na scenie nie potrafili mi spojrzeć w oczy. Między śmiercią matki a pogrzebem miałem zaplanowany wieczór kabaretowy na stadionie. Starałem się przełżyć, ale nie dało rady. O śmierci najstarszego brata dowiedziałem się w przerwie kręcenia „Tańca z gwiazdami”, wróciłem przed kamerę i dalej jurorowałem. Taki to zawód. Dla mnie taka cena za jego uprawianie nie jest duża. Może dlatego, że nigdy się nad nią tak naprawdę nie zastanawiałem. Moja pierwsza żona, brat Mikołaj, jego żona Iwona Bielska, dwie moje córki i ich mężowie, moi przyjaciele... Wszyscy są aktorami. Całe życie obracam się w tym świecie i nie mam pretensji, że tak wygląda.

**Potrafiłby pan zrezygnować jak Marek Kondrat?**

– Nie. Marek ma sklepy z winami, pasję winiarską, małe dziecko i mieszka w Hiszpanii. Moje dzieci są dorosłe, nie mam pasji, któ-

ra by mnie porwała, jestem związany z osobą bezkonfliktową, która nie wymaga ode mnie bycia mężem na dwa etaty.

**To co robi gajowy Grabowski, kiedy ma wolne?**

– Moim ulubionym zajęciem jest wymyślanie scenariusza filmu o rodzinnej Alwerni z czasów dzieciństwa. Ale też coraz większą mam pewność, że nigdy go nie napiszę. Poza tym gotuję, wczoraj zrobiłem bigos i pasztet. Myślałem ewentualnie o założeniu restauracji, jeszcze nie wiem, eleganckiej czy taniego baru.

**Byli już tacy, którzy się na tym przejechali.**

– Marek Kondrat, Boguś Linda, Zbyszek Zamachowski i Wojtek Malajkat założyli Prohibicję, która padła z hukiem. Poza tym boję się, że lubię kuchnię, bo nie siedzę w niej codziennie.

**A może w tym zawodzie nie wolno mieć poważnej pasji i jednocześnie być świetnym aktorem? Aktorstwo wymaga skupienia na sobie.**

– Bronię się przed tym, bo to pachnie pychą. Ale jednocześnie aktor musi być egoistą i egocentrykiem, wychodząc na scenę, musi wierzyć, że to, co robi, jest fantastyczne, a nie przepraszać, że żyje.

”  
**JAK KOCHASZ TEATR,  
TO SIĘ ZAPISZ DO KLUBU  
MIŁOŚNIKÓW TEATRU,  
A NIE BĄDŹ AKTOREM**

**Pan staje raczej do krótkich czy długich dystansów?**

– To nie ja ustalam dystanse, ale publiczność. Jak chce mnie oglądać, to tytuł się utrzymuje przez lata. „Chorego z urojenia”, gdzie gram główną rolę, dyrekcja Teatru im. Słowackiego już kilka razy chciała zdjąć, ale organizacja widowni krzyczy, że nie wolno. I tak minęło 20 lat. „Świat według Kiepskich” – 22 lata. „Scenariusz dla trzech aktorów” – 33 lata. Premiera „Kwartetu” miała miejsce w 1973 r., ale ja do obsady dołączyłem trochę później, 42 lata temu.

**W ambitnym teatrze pozycję zawdzięcza pan zmarłemu przed dwoma laty kompozytorowi i dramaturgowi Bogusławowi Schaefferowi?**

– Tak i bardzo go lubiłem. Boguś miał dystans do siebie i do aktorów. Dla mnie napisał „Audiencję V”.

**Dlaczego pan jej nie wystawia?**

– Zacząłem grać ją w 1980 roku jako nikomu nieznany człowiek. Na przemian wygłaszałem uczony wykład o muzyce współczesnej i zwierzałem się z jakichś banalnych historii. Wreszcie oznajmiałem, że jestem głodny, wyjmowałem kuchenkę, jajka i robiłem jajecznicę. Wysokie mieszało się z niskim, sacrum z profanum. Ale na koniec górę, przynajmniej tak mi się wydawało, brało to pierwsze. Tak było mniej więcej do 1999 roku. Ale kiedy się zaczęła popularność „Świata według Kiepskich”, takie artystyczne prowokacje w moim wydaniu już nie przechodziły. Ludzie na spektaklu nie wi-

dzieli aktora Andrzeja Grabowskiego, tylko Ferdka. Ludzie ambitną sztukę Schaeffera sprowadzili do kabaretu. Zrezygnowałem po 25 latach grania.

#### **Bolało?**

– Trochę. Ale aktorstwo to mój zawód, a nie hobby, jeśli mogę z niego żyć lepiej niż gorzej, robię to.

#### **Jak w ogóle doszło do tego, że aktor znany z ambitnych produkcji zagrał w sitcomie Polsatu?**

– W 1996 r. wystąpiłem w „Bożej podszewce”. Owszem, krytyka chwaliła serial, ale karierę zaczęła robić Danusia Stenka, moja nie drgnęła. Na dodatek Krystyna Meissner, dyrektorka Starego Teatru, wyrzuciła mnie z zespołu, tłumacząc, że reżyserzy nie chcą ze mną pracować, co było nieprawdą. Wróciłem do Słowackiego i byłem w lekkim dołku.

#### **I wtedy zadzwonił Okil Khamidov, reżyser „Kiepskich”?**

– Tak. Myślałem, że nakręcimy trzy pilotażowe odcinki, zarobię i zapomnę, bo scenariusz wydawał mi się wtedy zbyt głupi, żeby ludzie chcieli to oglądać. Zdążyłem jeszcze zaproponować, żeby moja postać zmieniła imię z Ludwika na Ferdynanda. Był Ferdynand Wspaniały, to teraz będzie Kiepski. Ludziom się spodobało, podpisałem kontrakt na następne 10 odcinków i pojawił się kolejny zastrzyk gotówki. Jak już zorientowałem się w konsekwencjach, nie

było łatwo się wycofać. Przy „Kiepskich” pracuje masa osób, które straciłyby pracę, kiedy bym powiedział: „dość”.

#### **Ludzie pana pokochali, ale środowisko wyklęło.**

– Kompletnie nie zrozumiało, że posługujemy się głupotą, żeby powiedzieć coś poważniejszego o naszym społeczeństwie. Iza Cywińska, z którą robiłem „Bożą podszewkę”, dzwoniła z krzykiem: w jakim ty gównie grasz. Mówię: daj mi wartościową rolę, to chętnie zagram. Ludzie na ulicy mnie zaczepiali, ile razy słyszałem, „cho no na browara”, „ja pierdzielę, Ferdzi” i klepią, i chcą całować. I żadnych szans na nowe role, bo na kilka lat telefon właściwie przestał dzwonić. Artystyczny bojkot dotknął większość aktorów grających w „Kiepskich”.

#### **Warszawa panem wzgardziła, a rodzinny Kraków?**

– Wokół Ferdka panowała zmowa milczenia. Wszyscy udawali, że nie widzieli. Po którymś sezonie drugi reżyser „Kiepskich” zadzwonił przy mnie do jednego z krakowskich aktorów, który już grał w serialu, proponując mu ponownie rolę na dwa dni. Kiedy odłożył słuchawkę, w swoim notesiku skreślił dane tego aktora. Usłyszał od niego: „Jak pan może proponować mi rolę w »Świecie według Kiepskich«?”. Prawdopodobnie siedział w kawiarni wśród innych aktorów i odegrał wobec nich spektakl: „odmowa”. Przedłożył chwilową satysfakcję nad pracę. Taki też jest Kraków.

**Gdzie pan szukał wsparcia?**

– Największą przyjemność sprawiały mi wtedy stand-upy. To duża frajda wyjść przed publiczność i bez muzyki, kolegów, rekwizytów mówić przez godzinę. Są wielcy, wspaniali aktorzy, których to paraliżuje, a mnie daje kopa, jak widzę przed sobą trzy tysiące osób.

**Pieniądze rekompensowały brak szacunku u kolegów?**

– Nie zawróciły mi w głowie, bo na szczęście pojawiały się powoli. Pierwsze gaże za Ferdka, w porównaniu do stawek filmowych, były dość nikczemne i rosły wraz z rosnącą popularnością. Zdażyłem się przyzwyczaić. Lubię swój zawód i będąc pracowitym, zawsze potrafiłem zarobić. Dużo grałem, zarówno w teatrach, w których pracowałem, jak i sztukach Bogusława Schaeffera. One nie wymagają prawie żadnej scenografii, więc byliśmy zapraszani przez teatry, domy kultury z całej Polski, sporo graliśmy po angielsku na międzynarodowych festiwalach.

**Kto pana uratował?**

– Patyk Vega zaproponował mi zagranie Gebelsa w momencie, kiedy osiem milionów Polaków oglądało „Kiepskich” i myślałem, że do końca życia zostanę Ferdynandem Kiepskim. Vega uparł się, żebym to ja zagrał policjanta z warszawskiego wydziału zabójstw, chociaż mu to odradzano. Od tamtej pory zacząłem wracać w świadomości widzów i środowiska jako aktor. Bo każdy, kto obejrzał „Pitbulla”, pomyślał: kurczę, ten facet umie coś innego zagrać niż „kopać w dupę Paździocha”.

**Jak pan wiedział, czym się kończy romans z telewizją, to po co pan wziął jurorowanie w „Tańcu z gwiazdami”?**

– Bo dla milionów ludzi nie grałem Ferdka, byłem nim. Myślałem, że mówię nieskładnymi zdaniami, chodzę w dresie i kłócę się z sąsiadem. W „Tańcu z gwiazdami” wystąpił Grabowski uczesany, w garniturze, mówił pełnymi zdaniami. Była mi potrzebna taka „rola”.

**Właściwie to dlaczego pan został aktorem?**

– Nie chciałem zostać aktorem, zależało mi przede wszystkim, żeby dostać się do szkoły teatralnej, w której studiował mój starszy brat. Mieszkaliśmy w podkrakowskim miasteczku Alwernia, czasami Mikołaj przyjeżdżał do domu z kolegami i koleżankami, czasami wagarowałem, jechałem do Krakowa i spędzałem z jego znajomymi cały dzień: Jerzy Trela, Maniek Dziędziel, Henryk Talar, piękne dziewczyny: Halinka Wyrodek, Urszula Popiel... Chciałem zostać częścią tego barwnego świata, chociaż w klasie maturalnej myślałem też o polonistyce, nawet złożyłem podanie do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Mogłem zostać nauczycielem.

**Brat pomagał przygotować się do egzaminu?**

– Oczywiście, cały rok. Rodzice zamówili dla mnie u krawca garnitur na maturę, wymarzyłem sobie taki dwurzędowy, z dużymi klapami, jaki nosił Marek Grechuta. Rano Mikołaj poszedł na egzamin maturalny, jak tylko wrócił, zdarłem z niego mój garnitur, bo po południu ruszyłem na swój egzamin. Po części praktycznej znalazłem siebie na trzecim miejscu, pierwszy był Jurek Stuhr. Ale potem zawałem język rosyjski, a już kompletną katastrofą okazała się teoria. To był rok 1969, stulecie urodzin Stanisława Wyspiańskiego i oczywiście był jakiś temat związany z jego dramataми, które czytałem. Zamiast tego pisałem temat wolny: jaką rolę chciałbyś zagrać, uzasadnij wybór. Akurat dwa tygodnie wcześniej Mikołaj przyjechał do domu i przed snem opowiadał, że chciałby zagrać Fi-

gara. Przysypiając, słuchałem, a na egzaminie próbowałem odtworzyć i zrozumieć, o co mu chodziło. Sprawy mi nie ułatwiało, że nie czytałem „Wesela Figara” ani nie wiedziałem, kim był Pierre Beaumarchais. Na liście końcowej znalazłem się pod kreską. Musiałem czekać do końca września, gdy przyznano mi miejsce rektorskie.

**I znalazł się pan w wymarzonej krakowskiej bohemie?**

– Wychowałem się w miasteczku, w którym wszyscy mnie znali, w tak zwanym dobrym domu, inteligenckim: dziadek miał kopalnię glinki ogniotrwałej, ojciec z wykształcenia historyk, grał na skrzypcach, mama, nauczycielka z wykształcenia, pracowała jako kierowniczka Kasy Spółdzielczej. Na obiadach bywali u nas lekarze, prawnicy, lokalna elita. No to proszę sobie wyobrazić, co robi chłopak, który w wieku 17 lat urywa się z takiego domu i ma nieograniczoną wolność w artystycznym Krakowie. Jest takie przysłowie...

**Hulaj, dusza, piekła nie ma.**

– To wersja literacka. Janek Peszek używa ludowej: „pić, pierdolić i tańcować, bida musi pofolgować”. Szkoła była ostatnią rzeczą, jaką się przejmowałem. Dykcja? Wystarczy wyraźnie mówić. Impostacja głosu? Przecież mnie słyszą. Życie zamieniało się w niekończącą się zabawę. Musiałem powtarzać trzeci rok. Jerzy Jarocki, wielki reżyser, wpisując mi dwóję do indeksu, powiedział: „Robię to nie dlatego, że pan nie nadaje się na aktora. Pan nim zostanie, ale jest pan za głupi, żeby teraz tę szkołę skończyć”. Nie bardzo mu wierzyłem, ale w następnym roku z głównych przedmiotów (sceny klasyczne i sceny współczesne) miałem piątki. Dobrze, że musiałem powtarzać rok, to dało mi do myślenia. Bo człowiek nie rozwija się dzięki sukcesom. Jak świetnie ci wyszła rola, to nawet jej nie analizujesz, a jak ją położysz, to się zastanowisz, co poszło nie tak.

**Grał pan po alkoholu?**

– Raz, kilka lat po studiach. Coś wypilem w ciągu dnia i poszedłem spać. A że mieszkalem w teatrze, to zbudzono mnie tuż przed spektaklem. Z trudem, ale przypominałem sobie, w czym mam za chwilę zagrać. W „Małym dworku” sprzyjała mi rola Jęzorego Pa-siukowskiego, szalonego, nieobliczalnego poety i artysty. Szło mi dobrze, zapomniałem tylko jednej kwestii i w tym momencie zdałem sobie sprawę, że na scenie panuje cisza. Jeden aktor schodzi, potem drugi, trzeci... Pomyślałem: co będę tutaj sam stał i też zszedłem. Pytam w kulisie: kto mówi? – No ty.

Przypominałem sobie kwestię, wróciłem na scenę, ale już nikogo nie było. Zapach alkoholu wyczuł jeden z aktorów, niepijący alkoholik, który tępił takie wybryki. Schodząc ze sceny, powiedział do publiczności, że zaraz przyjdzie dyrektor i wyjaśni sytuację. Dyrektor oznajmił, że z powodu choroby aktora spektakl zostaje przerwany. Widownia zresztą myślała, że zasłabł aktor, który to powiedział, a nie ja. Ciekawe, że na komisji dyscyplinarnej ukarania mnie żądali niektórzy koledzy, a przed nimi bronił dyrektor.

**Śni się panu Ferdek?**

– Nie, gram już dużo innych ról. Teraz nie przeżywam już go tak jak kiedyś, chociaż wolałbym, żeby trwał. Mam inny powracający sen: że wznawiamy spektakl, którego nie grałem wiele lat, wchodzę na scenę i nie umiem tekstu. Albo że jestem niedysponowany. W różnym tego słowa znaczeniu. **N**